

Sergiusz
Pinkwart

PIOTRUŚ I WILCZEK

Autorka ilustracji

.....

KIDS

KLUB
INNOWATORÓW
DZIECIĘCYCH
SZPITALI





Kochanie, już wracam! Przygotuj mi ciepłą kąpiel. Angelika wysłała esemesa i uśmiecha się widząc migające trzy kropeczki na ekranie smartfona. Adam musi z utęsknieniem czekać na wiadomość od niej, skoro od razu zaczął odpisywać.

Odkręcam wodę i wstawiam pizzę do piekarnika. Za 15 minut będzie gotowa.

Już wycho... – Angelika przerywa odpisywanie i zastyga nasłuchując głosów dochodzących z sali na końcu korytarza.

Z irytacją sięga po wiszący już w szafce fartuch, a potem szybkim krokiem, zdecydowanie stukając obcasami po lśniącej, czystej posadzce, rusza w stronę kłótni.

– Jest piątek wieczorem i naprawdę... – zaczyna mówić

podniesionym głosem, jak tylko wkracza do sali oświetlonej zimnym światłem jarzeniówek.

– No i proszę! – Wawrzek, sanitariusz z wielkimi tatuażami na obu odstłoniętych ramionach wskazuje ją palcem

– Pani doktor! Dobrze, że pani tu jest. Bo ona się wścieka, że chcę z nim zrobić porządek.

– Ona ma imię! – syczy urażona pielęgniarka, starsza kobieta w mocno wykrochmalonym, niebieskim fartuchu.

– Pani Zosiu... – Angelika bierze głęboki oddech i w myślach liczy do pięciu. – Jesteśmy w szpitalu. To chyba ostatnie miejsce, które nadaje się do kłótni. Nasz pacjent, Piotruś, nie wybudził się po ciężkim zabiegu, ale to nie powód, by wrzeszczeć mu nad uchem. Czy nie moglibyście wyjaśniać swoich spraw na zewnątrz budynku?

Pielęgniarka unosi ręce w świętym oburzeniu, ale nic już nie mówi i obrażona odwraca się do ciemnego okna. Za to sanitariusz Wawrzek teatralnym gestem wskazuje na kołdrę przykrywającą łóżko stojące w rogu sali.

– Pani doktor! Proszę! Niech sama pani zobaczy. Moim zdaniem trzeba zastrzelić tę bestię!

Angelika robi trzy kroki i z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia pochyla się nade mną.



*

W szpitalu najbardziej podoba mi się latanie. Odkąd taki bardzo poważny pan chirurg zrobił mi w głowie dziurkę, mogę unosić się pod sufitem i patrzeć na wszystko z góry. To był najbardziej niezwykły moment w moim życiu. Pamiętam, że trochę się bałem, bo jak jechałem na salę operacyjną, to mama bardzo płakała, a tata mówił mi, ale bez przekonania, jaki jestem strasznie dzielny i że szybko mam do nich wrócić. A potem położyli mnie na takim specjalnym łóżku i dali zastrzyk. Słyszałem, jak doktor Angelika powiedziała do tego bardzo ważnego pana chirurga „wszystko w porządku, pacjent zasnął”, a potem on zrobił mi dziurkę w głowie i nagle poczułem, że się wolno unoszę w górę. Najpierw widziałem łóżko, a na nim siebie samego, potem podleciałem wyżej i spojrzałem z góry na lampy, ustawione nad moim łóżkiem, zielony czepek pana chirurga. Zobaczyłem też doktor Angelikę, której prawie nie poznałem, bo miała na twarzy maseczkę i jeszcze kilka osób, które były bardzo zajęte podawaniem panu chirurgowi narzędzi, sprawdzaniem różnych wskaźników na monitorach i zmienianiem muzyki w odtwarzaczu. Trwało to długo, ale ja się wcale nie nudziłem. Nie wróciłem też do swojej głowy, choć widziałem jak bardzo to zmartwiło moich rodziców, którzy



po operacji przychodzili na salę intensywnej terapii, gdy byłem podłączony do różnych rurek i kabelków. Po kilku dniach przeniesiono mnie do sali na końcu korytarza i co jakiś czas sprawdzano, czy się obudziłem. Zabawne. Bo ja przecież w ogóle nie spałem. To znaczy leżałem na łóżku z zamkniętymi oczami. Oddychałem już samodzielnie. Odłączono ode mnie te śmieszne rurki. Ale to nie byłem ja. Patrzyłem na siebie, takiego bezradnego, i w ogóle się nie martwiłem. Bo bardzo polubiłem to latanie pod sufitem. Odkryłem, że mogę się zapuszczać coraz dalej, odwiedzając różne zakamarki szpitala. A tu ciągle coś się działo. Z wyjątkiem weekendów. Tak, zdecydowanie nie lubiłem weekendów. Od piątkowego wieczora aż do poranka w poniedziałek, szpital był okropnie nudny. Dlatego gdy zbliżył się znów piątek, postanowiłem wylecieć na zewnątrz. Nieco się obawiałem, że już więcej tu nie wrócę, dlatego przeciągałem ten moment rozstania. Ale nadszedł wieczór i lekarze, jeden za drugim, przebierali się w swoje zwyczajne ubrania, zamawiali taksówki i wychodzili szybkim krokiem z budynku. Postanowiłem wylecieć, gdy pojedzie do domu doktor Angelika. Ją najbardziej polubiłem, bo często do mnie przychodziła, jeszcze przed operacją, żeby ze mną posiedzieć. Czasami czytała mi książeczki, które przynosiła z pokoju zabaw. Dlatego poleciałem się z nią pożegnać.



Widzę ją, jak odwiesza do szafki biały fartuch i równocześnie patrzy na telefon komórkowy. Chyba czyta coś miłego, bo się uśmiecha. Patrze na nią z mojego miejsca pod sufitem, gdy jej palce szybko się przesuwają dotykając rozjarzonego ekranu. Znow się uśmiecha, a potem nagle sztywnieje, a na twarzy pojawia jej się grymas niezadowolenia. Nasłuchuje. Waha się co zrobić. Na pewno chce jak najszybciej pojechać do domu, w którym czeka na nią narzeczony. Opowiadała o nim ostatnio w pokoju lekarskim. Ma na imię Adam i jest nauczycielem. Lubią razem podróżować, a za kilka miesięcy planują ślub. Ale nie wiadomo, czy do niego do-





jdzie, bo jak doktor Angelika zwierzała się koleżankom, Adam coraz częściej się denerwuje. Chciałby, żeby ona spędzała z nim więcej czasu, a nie siedziała w szpitalu całymi dniami. Dlatego teraz doktor Angelika się waha co zrobić. Udawać, że nie słyszy podniesionych głosów pielęgniarki Zosi i sanitariusza Wawrzka? A może pójść i zobaczyć co się dzieje i czy ktoś nie potrzebuje jej pomocy? Widzę jak ze sobą walczy, a potem głęboko wzdycha i stukając obcasami zdecydowanie maszeruje w stronę sali, w której wciąż znajduje się moje ciało.

*

– Co to jest? – pyta Angelika pochylając się nad kołdrą przykrywającą nieruchome ciało chłopca pogrążonego w głębokim śnie. – Wygląda jak brudna plama. Albo ślad jakiegoś zwierzęcia.

– Trop! – odruchowo poprawia ją Wawrzek. – Od razu widać, że pani doktor nigdy nie polowała.

– Trop, czy ślad... A co to za różnica? – wtrąca się Zofia wzruszając ramionami. Wprawdzie miała zamiar obrazić się i nie odzywać, ale najwyraźniej pokusa, by odgryźć się sanitariuszowi, była silniejsza.

– Zwierzęta zostawiają różne ślady – spokojnie tłumaczy Wawrzek, nawet ciesząc się, że może się popisać swo-





ją wiedzą. – Ale odciski odnóży nazywamy tropami. I tu właśnie mamy do czynienia z odciskiem łapy dużego psa. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że to był wilk. Angelika odwraca głowę i przez moment patrzy na sanitariusza, jakby był obrazem w muzeum.

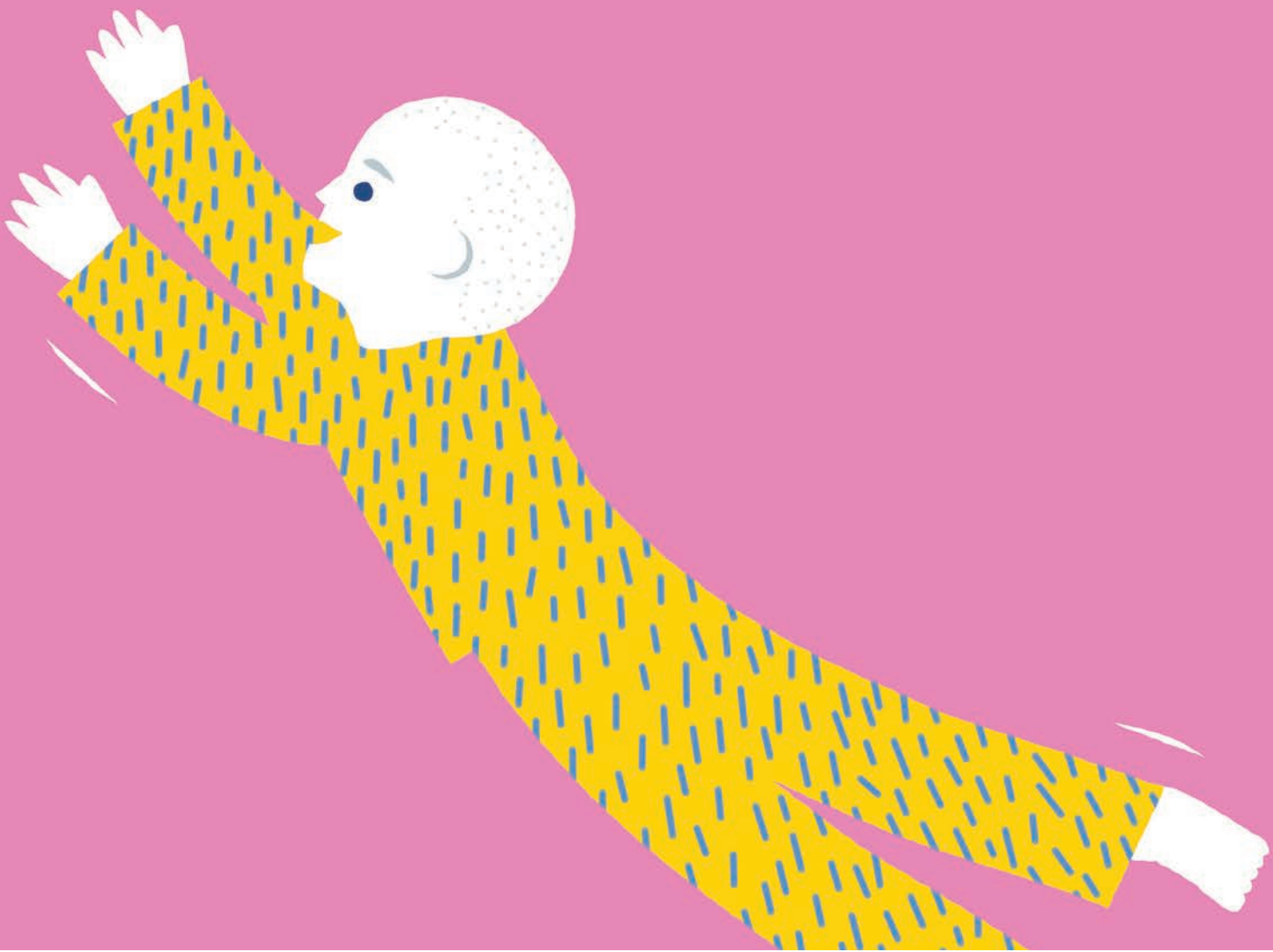
– To jakiś żart?

Komórka lekarki ożywa nagle w kieszeni fartucha. Wibruje i brzęczy jak trzmiel zaplątany w firankę.

Angelika spogląda na ekranik i z westchnieniem odrzuca rozmowę. Adam będzie miał o to pretensje, ale teraz nie jest w stanie rozmawiać o urażonych uczuciach zakochanego w niej chłopaka.

– Jest już późno – mówi pielęgniarz. – Pani doktor się spieszy do domu. Nie ma co przedłużać sprawy. Nic się nie stało.

– Nic się nie stało??? – Wawrzek unosi głos. Zaraz znów



się nakręci i będzie krzyczeć. – Po szpitalu biega gdzieś sobie wilk. Wskakuje nieprzytomnemu dziecku na łóżko. Może go udusić, albo zarazić jakimś świństwem, które przywlekł z lasu, a pani mówi, że nic się nie stało?

– No już dobrze, dobrze... – Angelika stara się uspokoić poirytowanego mężczyznę. – Co pan proponuje, panie Wawrzku?

Sanitariusz prostuje się i uderza pięścią w otwartą dłoń.

– Wytropić i ukatrupić bestię!

Pielęgniarka krzywi się z niesmakiem.

– Chyba zapomina pan, że nie jesteśmy w lesie. A zresztą

nawet w lesie wilki są pod ochroną.

Wawrzek pochyla się nad łóżkiem i pociąga palcem po plamie na kołdrze.

– Jeszcze wilgotne. Basior był tu dosłownie przed chwilą.

Nie mógł uciec daleko. Może się gdzieś schował?

To był odruch. Wszyscy zaczynają się rozglądać wokół.

– Zostaw pan tego wilka! – mówi z naciskiem Zosia.

Angelika patrzy na nią zdziwiona.

Gdzieś blisko rozlega się skowyt, przechodzący w wibrujące wycie, mrożące krew w żyłach.

– Ha! Wiedziałem! – Wawrzek klaszcze w dłonie i sięga po metalowy stojak na kroplówkę stojący w rogu sali. – To wilk! Już ja go urządzę!

– Nie! – krzyczy starsza pielęgniarka. Ale sanitariusz już sadi wielkie susy po wyłożonym linoleum korytarzu. Angelika biegnie za nim.

Zosia łapie się za głowę i patrzy w górę szukając czegoś na suficie.

– Jesteś tam, prawda? – mówi cicho. – Jeśli jesteś, to spraw, żeby ten narwaniec nie zrobił mu krzywdy.



*

Nie ma obaw. Nie zobaczą go.

Przecież nawet to wilcze wycie, to był żart. Dowcip. Na co dzień Wilczek jest cichutki jak myszka. Porozumiewamy się ze sobą bez słów.

Zobaczyłem go chwilę po tym, jak pan chirurg zrobił mi dziurkę w głowie i pofrunąłem pod sufit. On już tam na mnie czekał. Polizał mnie po policzku szorstkim, wilgotnym językiem i od razu przestałem się bać. Wiedziałem, że nie jestem sam.

Nigdy wcześniej nie miałem żadnego zwierzaka. Wiele razy prosiłem rodziców, żebyśmy przygarnęli kotka, pieska, albo chociaż chomika. Ale oni tłumaczyli mi spokojnie, że nie mamy odpowiednich warunków do trzymania zwierząt, mama jest uczulona na kocie futro, psa trzeba wyprowadzać kilka razy dziennie na spacer i sprzątać po nim kupy, a chomik żyje krótko i trzymanie gryzo-
nia w klatce jest niepotrzebnym okrucieństwem. Oczywiście mieli rację. Ale to nie zmienia faktu, że ja ciągle marzyłem, żeby mieć takiego kudłatego przyjaciela jak Wilczek.

Odkąd zacząłem fruwać, byliśmy z Wilczkiem nierozłączni. Czasem do niego mówiłem, opowiadałem





mu o mojej mamie i o tacie. Innym razem przemierzaliśmy szpitalne korytarze w milczeniu, zaglądając do sal, albo do hallu, w którym działo się zawsze coś ciekawego. Wilczek zazwyczaj przemykał po podłodze, zręcznie omijając spieszących się ludzi, pchane przez sanitariuszy ciężkie, szpitalne łóżka, czy wózki z jedzeniem. Ale, jak miał na to ochotę, potrafił też fruwać, tak jak ja i czasem lataliśmy po wysokim hallu, ścigając się i fikając w powietrzu koziołki.

Na początku bałem się, że ktoś go zobaczy, ale szybko zorientowałem się, że tak jak i ja, Wilczek jest dla innych niewidzialny. Choć czasem, starsze pielęgniarki wpatrywały się w sufit, jakby kogoś tam szukały... Kiedyś chciałem sprawdzić, czy mogę wyjść do szpitalnego ogrodu. Zapytałem Wilczka, a on usiadł na podłodze i położył łeb na swoich łapach. Zrozumiałem, że nie ma ochoty na wyjście na zewnątrz. Postanowiłem więc, że pofrunę sam. Pobiegł za mną i stanął, zasłaniając mi drzwi wejściowe, przez które co chwilę wchodzili i wychodzili ludzie, nie zwracający na nas najmniejszej uwagi.

– Nie chcesz iść na spacer? Króciutki. Zaraz wrócimy – kusilem go. Ale on stał tylko i patrzył na mnie tymi swoimi mądrymi, wilczymi oczami. A potem machnął ogonem i pobiegł z powrotem w stronę piętra, na którym był blok pooperacyjny. Pofrunąłem za nim, starając się dogonić



go i pogłaskać, ale udało mi się to dopiero, gdy zatrzymał się przy łóżku, na którym leżało moje ciało.

Przyznam się, że nie lubiłem patrzeć na siebie samego, takiego nieruchomego. Nie miałem ochoty tu wracać, ale Wilczek zawsze mnie tu przyprowadzał, kładł się na kołdrze i wsuwał kudłaty łeb pod leżącą bezwładnie rękę, jakby liczył na to, że ta leżąca na szpitalnym prześcieradle kukietka, podrapie go za uszkami. Chcąc nie chcąc, też przysiadłem na łóżku i wpatrywałem się w swoją śpiącą twarz. Jak usunięto rurki, przez które oddychałem tuż po operacji, wyglądałem trochę lepiej. A przez sen nawet się czasem uśmiechałem.

Kilka razy dziennie robiło się w mojej sali tłoczno. Przychodził na obchód pan ordynator, razem z całą świtą lekarzy i pielęgniarek. Pochylał się nad moim ciałem, coś do mnie mówił. Ale nigdy mu nic nie odpowiedziałem. Nawet nie otworzyłem oczu. Przyglądałem się też z góry, jak doktor Angelika, razem z kilkoma innymi lekarzami, próbują mnie obudzić. Podawano mi różne lekarstwa przez takie rurki, podłączone do igły wbitej w moją rękę. Sprawdzano aktywność mózgu obserwując na monitorze przesuające się szybko faliste linie. A nawet raz ktoś z telefonu puścił specjalnie dla mnie wesole piosenki, które dzieci śpiewają w przedszkolu. Jednak nigdy nie otworzyłem oczu, ani nie wydałem żadnego dźwięku. Ro-



zumiałem, że lekarze chcą, żebym się obudził i wyzdrowiał. Wilczek chyba też tego chciał, bo coraz częściej mnie prowadził do sali, w której leżało moje śpiące ciało. Ale mnie bardzo się podobało fruwanie i nie miałem ochoty znów stać się chorym, słabym Piotrusiem.

*

– Piotrusiu! – pielęgniarka Zosia dotyka ręki leżącego na łóżku chłopca. – Wiem, że mnie słyszysz. Jesteś gdzieś tu w pobliżu razem z tym pieskiem, prawda?

Czeka na jakąś moją reakcję, ale oczywiście nie zamierzam się odzywać.

– Dobrze, jak nie chcesz to nic nie mów – zgadza się Zosia. – Ale pracuję w tym szpitalu już bardzo długo i pewne rzeczy wiem. Czasem na nocnym dyżurze widzę cienie na suficie. Słyszę szepty. Rozmawiałam też z dziećmi, które wyzdrowiały. Wiem, że nie są tu same. Jest z nimi wilk, który im towarzyszy w drodze... – zawiesiła na moment głos, zastanawiając się co powiedzieć dalej – który im towarzyszy w drodze, którą muszą przejść, żeby pójść dalej, albo wrócić do nas. Domyślam się, że jesteście gdzieś blisko. Proszę cię, wróć. Twoi rodzice bardzo tego pragną.

*



Pielęgniarka ma rację. Nie jestem wcale taki wyjątkowy. Kilka dni temu na oddział ratunkowy przywieziono dziewczynkę w moim wieku. Miała wypadek na rowerku i tak jak mnie, pan chirurg musiał zrobić dziurkę w głowie i naprawić to, co się tam zepsuło. Patrzyłem, jak lekarze spieszą się przy stole operacyjnym, by zatamować krwotok. Podłączają różne urządzenia do małego ciała leżącego bezwładnie, patrzą nerwowo na monitory i kręcą z niezadowoleniem głowami. Zająłem miejsce w rogu sali, przy suficie, żeby nikomu nie przeszkadzać. Mój Wilczek siedział spokojnie przy zielonym parawanie oddzielającym nas od drugiej części sali. W pewnym momencie uniósł się na łapach, pomachał ogonem i cicho szczeknął. Spojrzałem zdziwiony, bo Wilczek był zawsze taki cichutki. Po chwili zrozumiałem, że to było powitanie. Obok niego pojawił się drugi zwierzak, bardzo do niego podobny, tylko z ciemnymi plamkami na mordce, które wyglądały jak piegi. Wilczki przywitały się, przyjaźnie się obwąchując. Gdy spojrzałem znów na stół operacyjny, zobaczyłem, że dziewczynka unosi się i podfruwa w powietrze, a równocześnie jej ciało, otoczone lekarzami, nieruchomieje jak zabawka, której wyładowały się baterie.

– Ja fruвам! – spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

Kiwnąłem głową, bo co tu gadać. Sprawa jest oczywista.



- Czy ja umarłam?

Wzruszyłem ramionami. Skąd ja miałbym to niby wiedzieć.

Dziewczynka westchnęła ciężko i patrzyła na mnie z niezadowoloną miną. Często tak na mnie patrzą dziewczyny, więc już wiem, że znudziła jej się moja obecność. A może liczyła na to, że z nią będę gadał i gadał, a ja tak nie umiem. Dlatego poczułem ulgę, gdy dostrzegła wilczki i uśmiechnęła się szeroko.

- Och, jakie ładne pieski! Czy one są twoje?

Znów miałem ochotę wzruszyć ramionami, ale się jakoś się powstrzymałem. Czemu te dziewczyny zawsze zadają tyle głupich pytań?

Dziewczyna podfrunęła do zwierzaków i dała się polizać po policzku piegowatemu stworowi.

A potem razem wyfrunęli przez drzwi na korytarz.

*

- Siostro! Mogę panią poprosić na chwilę? - doktor Angelika zagląda do sali i przywołuje Zosię do pustej o tej porze dyżurki. W tej samej chwili głośno dzwoni jej komórka. Lekarka patrzy z rozpaczą na ekran telefonu i z westchnieniem odbiera.

- Adaś, nie mogę teraz rozmawiać - rzuca do słuchawki.



Chwilę słucha odpowiedzi i uśmiecha się smutno. – Ja też cię kocham. Postaram się jak najszybciej.

– Pani doktor mnie wzywała? – pyta pielęgniarka.

Angelika zamyka drzwi dyżurki.

– Pani Zosiu, wiem że jestem tu dopiero od pół roku i nie wiem bardzo wielu rzeczy. Ale co tu się dzieje?

Pielęgniarka siada na brzeжку krzesła i sięga po stojącą na stoliku szklanę z zimną herbatą.

– Pani doktor, przepraszam, że się uniosłam, ale ten Wawrzek czasem strasznie działa mi na nerwy. Mój świętej pamięci mąż też był myśliwym, więc wiem, że to może być silniejsze od niego.

– Co? – przerywa Angelika – Co pani ma na myśli?

Zosia chwilę milczy. A potem pociąga łyk herbaty i mówi wolno ważąc słowa.

– W szpitalu są dzikie zwierzęta. Najczęściej psy, chyba wilki. Salowe znajdują ślady... tropy. No zwał jak zwał.

– Nie widziałam tu żadnych wilków – mówi z przekonaniem Angelika. – Żadnych! To jakieś bajki.

– Ich nie widać – Zosia przytakuje. – Ale czasem pozostawiają tropy. Albo wygniecione miejsce na kołdrze, przy nieprzytomnym dziecku. Widziałam też na własne oczy, jak dziecko się budziło, kilka dni po operacji i przez sekundę, mgnienie oka, zobaczyłam, jak głaszcze łeb wilka, który lizał je po policzku. Zanim zdążyłam zarea-



gować, zwierzę znikło, a dziecko otworzyło oczy i zapytało gdzie jest jego piesek. Po kilku minutach już tego nie pamiętało.

– To niemożliwe. – Angelika potrząsa głową.

– I jeszcze jedno... – mówi pielęgniarka wstając, żeby odstawić szklankę na stolik. – Odcisk łapy na pościeli oznacza, że to już długo nie potrwa. Jutro Piotrusia już tu nie będzie.

– Co pani opowiada! – Angelika unosi głos.

Zosia milczy.

W tym samym momencie rozlega się brzęczek i na tablicy z numerami sal zapala się czerwona lampka.

Angelika nawet nie musi sprawdzać. Po prostu wie, że to włączył się alarm w sali, w której leży Piotruś. Razem z Zosią wybiegają na korytarz. Mają do pokonania kilkanaście metrów. Wpadają do środka niemal równocześnie z Wawrzkiem, który wciąż trzyma w ręku metalowy stojak na kroplówkę. Czerwona lampka miga ostrym światłem nad łóżkiem Piotrusia. Ale dziecka tam nie ma. Łóżko jest puste.

*

– To ten wilk! – krzyczy Wawrzek. – Na pewno go gdzieś zaciągnął do swojej nory. Niech no ja tylko dorwę tego basiora...

– Proszę się natychmiast uspokoić i odłożyć ten sto-



jak! – mówi Angelika tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Przecież chłopiec jest nieprzytomny. Może rodzice po niego przyjechali, żeby go zabrać do domu? Pani Zosiu, proszę natychmiast zadzwonić na recepcję i poprosić, żeby postawiono kogoś przy wejściu.

Pielęgniarka kręci głową z niedowierzaniem.

– Już dzwonię, pani doktor, ale kompletnie nie wierzę w to, że ktoś porwał Piotrusia.

– A co? – pyta agresywnym tonem Wawrzek – Sam uciekł?

Angelika łapie się za głowę.

– Nie było nas tu zaledwie kilka minut. Ktokolwiek to zrobił, nie może być daleko. Panie Wawrzku, proszę sprawdzić windy. Pani Zosiu – niech pani zadzwoni na dół. A ja przejdę się po piętrze.

Nie czeka na odpowiedź, tylko wyłącza alarm nad pustym łóżkiem i stukając obcasami idzie przez długi, pusty korytarz, zaglądając na sekundę do każdej sali. Jest już późno, więc światła są przyćmione, a ze środka dobiegają spokojne oddechy śpiących dzieci i elektroniczny szum pracującej aparatury. Na końcu korytarza jest zakręt, a za nim sala zabaw. Angelika czuje, jak serce mocno jej bije, gdy zbliża się do pomieszczenia z meblami w pastelowych kolorach, z biblioteczką wypełnioną książkami i pluszakami w plastikowych pudełkach. Wchodzi do środ-



ka i zapala światło.

*

Wilczek nie lubi światła. Ja też mrużę oczy, gdy nagle zapalają się wszystkie lampy w pokoju zabaw. Siedzę w piżamie na środku maty edukacyjnej z literkami i cyferkami i przytulam się do Wilczka. Słyszałem już z daleka stukot obcasów doktor Angeliki, ale teraz jak podchodzi do mnie po wytłumiającej macie, robi to cichutko jak Indianka z tego filmu Pocahontas. Kuca obok mnie i drapie za uchem mojego Wilczka.

– Jak masz na imię, chłopczyku? – pyta. A ja o mało nie wybucham śmiechem. Przecież powinna mnie znać.

– Piotruś – odpowiadam. – A to jest Wilczek.

– Cześć Wilczku – mówi Angelika, uśmiecha się szeroko i wyciąga do mnie ręce.

Lubię, jak się tak uśmiecha. Przytulam się do niej i pozwalam, by mnie podniosła z maty i posadziła sobie na biodrze. Wciąż ściskam Wilczka, który ma bardzo zadowoloną minę.

Angelika wraca długim korytarzem, po drodze dając znak sanitariuszowi i pielęgniarce, by się do nas zbliżyli.

Lekarka kładzie mnie na kołdrze i podłącza te wszystkie rurki i kabelki, które oderwałem, gdy schodziłem z łóżka.



Monitor miga ciepłym blaskiem, pokazując równy szereg cyfr i płynącą równym rytmem falę elektrokardiogramu.

– To jest ten straszny wilk, na którego pan chciał zapolować, panie Wawrzku? – pyta Angelika wskazując na Wilczka. – Przecież to zwykła pluszowa zabawka.

Sanitariusz mówi coś pod nosem i wzrusza ramionami.

Angelika pochyla się nade mną i pyta.

– Jak się czujesz, Piotrusiu?

– Dobrze, pani doktor. Tylko chce mi się pić.

– Siostró Zosiu... – mówi Angelika sprawdzając mi opatrunek na głowie. – Proszę zawiadomić rodziców Piotrusia, że ich synek się obudził. Temperatura i ciśnienie w normie. Wygląda na to, że pacjent wraca do zdrowia.

Cichy dźwięk oznajmia nadejście esemesa. Angelika sięga po smartfona i uśmiecha się do pluszowego Wilczka. Odpisuje szybko: Jesteś kochany. Za pięć minut będę na dole.

Odwraca się do pielęgniarki Zosi. Przez chwilę patrzą sobie w oczy. Starsza kobieta unosi brwi.

– Widziała go pani doktor, prawda?

Angelika niedostrzegalnym gestem przytakuje.

– Tak. Nawet go dotknęłam. Zniknął sekundę później. Ale był tam.

– Wiem. Niech pani już idzie. Wszystko będzie dobrze.

